

HOROLOGIUM



CZYLI DOM NIEZWYKŁYCH
ZEGARÓW

ARIADNA PIEPIÓRKA

HOROLOGIUM



CZYLI DOM NIEZWYKŁYCH
ZEGARÓW



ilustrowała Zofia Zabrzaska

WYDAWNICTWO SKRZAT
KRAKÓW



*Dla Mamy –
mojej bohaterki, która uczyniła
świat dookoła wspaniałym,
ciepłym i bezpiecznym*

PROLOG

Nigdy nie słyszałeś tej historii? Jest już bardzo stara, ale przecież takie kryją w sobie najwięcej tajemnicy, prawda? No dobrze, opowiem ci ją, drogi czytelniku, ale wiedz, że znam tylko jedną z licznych wersji. Zaczyna się tak, jak wiele baśni – dawno temu (choć może nie tak dawno, jak te najstarsze). Nie w jakiejś odległej krainie, ale tutaj. A zaczęło się od zła. Trzeba ci wiedzieć, że kiedy człowiek wyrządzi drugiemu ogromne zło, całe piekło wiwatuje. Nikt nie pilnuje wtedy jego czarnych bram, a drzemiące przy nich czarownice tylko czekają, aż pod wpływem radosnych okrzyków wrota rozchylą się odrobine. Tyle tylko wystarczy, aby przecisnęła się przez nie jedna z wiedźm. To bardzo sprytne i przebiegłe istoty, złe do szpiku kości.

Pewnego razu właśnie w czasie mrocznym, ponurym i nieszczęśliwym, kiedy ludzie na całym świecie toczyli ze sobą krwawe boje, gdy rozgorzała wielka wojna, piekło zaśmiewało się tak głośno, że obudziła się drzemiąca w nim najgroźniejsza z czarownic. Czarna brama otworzyła się szerzej niż zwykle i zanim dobre anioły zdążyły zatrzaskać ją od zewnątrz, ta okrutna postać wyszła na ziemię. Czuła się tam wspaniale, obserwując cierpiących

z powodu rozlewu krwi ludzi, rozpalając coraz to nowe spory i pilnując, aby zawiść i chciwość nie opuściły człowieczych serc. I żeby bitwy nie miały końca.

Wiemy jednak doskonale, że zawierucha się skończyła. Jak to się stało? Nie wiadomo. Bardzo prawdopodobne jest, że wiedźmę osłabiły dobre serca, których nie brak przecież na ziemi, a które mają niezwykłą moc, znacznie silniejszą od mocy tych złych.

Czarownica powoli wracała jednak do sił, a wraz z nimi rósł jej gniew. Postanowiła skrzywdzić ludzi najbardziej, jak to tylko możliwe. Zabrała ze świata coś najcenniejszego i ukryła w złotej skrzyni, zamykając ją na złoty kluczyk. Co to było? Nie tak szybko, mój drogi czytelniku! Wszystko w swoim czasie, sam z pewnością wkrótce się domyślisz... Zła istota czuła się z siebie bardzo zadowolona, gdy patrzyła na efekty tej zuchwałej kradzieży. Musiała jednak ukryć lśniący kluczyk w bezpiecznym miejscu, a jak doskonale wiemy, nie ma miejsca bezpieczniejszego nad nasze własne serca. Wiedźma także to wiedziała, ale przecież (jak każda czarownica) serca nie miała. Postanowiła poszukać sobie innego. Ukryła kluczyk w serduszku niemowlęcia, które porwała od rodziców w dniu jego urodzin, po czym zaszyła się z nim gdzieś i z ukrycia obserwowała efekty swojego podłego czynu.

Co dalej? Nic. Na tym baśń się kończy. W tym momencie mamy mówić swoim dzieciom, że pora spać, a ich pytania pozostawiają bez odpowiedzi. Nie, nie są złośliwe, końca tej historii po prostu nikt nigdy nie usłyszał. Ja jednak znam opowieść, która wszystko ci wyjaśni. Może nawet wiem, jaki jest jej finał, choć czy mogę tak powiedzieć? Przecież ta historia jeszcze się nie skończyła. Potrwa tak długo, jak długo będzie istniało jej miejsce – czyli nasze „tutaj”.

Już dobrze, opowiem ją, to jednak długa baśń, więc rozsiądź się wygodnie, uruchom wyobraźnię i posłuchaj. Zaczynamy!





Rozdział I NA ULICY NOWEJ

Wyobraź sobie miasto. Brukowane uliczki, pogrążone w mroku nocy błyszczą, jakby nagle jakiś czarodziej zmienił je w połyskliwe lustro. Ten czarodziej to deszcz. Deszcz, który jest jednocześnie jedynym źródłem dźwięku na opustoszałych ulicach. Niezwykle uspokajający jest delikatny odgłos kropeł, co jakiś czas spadających z przemoczonych po

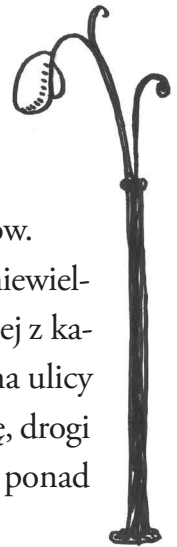


całodziennym deszczu latarni. Główna ulica pogrąży się w półmroku, którego nie zdołało rozproszyć tych kilka świecących ulicznych lamp. Deszcz łagodnieje, przeradza się w delikatną, ledwie widoczną mżawkę, którą chyba trafniej byłoby nazwać mgiełką... Widzisz to?

Spokój głównej ulicy zakłócił odgłos zbliżającego się do niej konnego powozu. Stukot kopyt dwóch kasztanowych szkap odbijał się coraz głośniejszym echem od ścian kamienic, stojących po obu stronach drogi, gdy powóz – niewielki, ale z ogromnymi, pięknie rzeźbionymi, drewnianymi kołami – przemierzał powoli ulicę, jadąc samym jej środkiem.

Powozilił nim chudy człowieczek z siwiejącymi, potarganymi włosami, związanymi w kucyk, uśmiechając się przy tym szaleńczo i pokazując oczywiste braki w uzębieniu. Skrzeczącym głosem, przypominającym skrzypienie drewnianej podłogi, nucił starą piosenkę, z której dało się zrozumieć jedynie kilka słów.

Woźnica poprowadził konie w prawo, w niewielką brukowaną uliczkę. Tablica na ścianie jednej z kamienic głosiła, że powóz znalazł się właśnie na ulicy Nowej, jednak niech nazwa ta nie zwiedzie cię, drogi czytelniku – nie zmieniło się na niej nic od ponad



stu lat. Kamienice wokół były stare i bardzo zniszczone, czas pozostawił także swój ślad na latarniach – zardzewiałych i powyginanych.

Powóz zatrzymał się i wysiadł z niego przysadzisty jegomość w meloniku, czarnym płaszczu i monoklu. Rozejrzał się po uliczce i wsłuchał w noc. Konie – zupełnie jakby zauważyły, że mężczyzna chce coś usłyszeć – zamilkły również, nasłuchując. Na drodze zapanowała głucha cisza, nawet krople zdawały się – poruszone niezwykłą o tej porze sytuacją – przestać kapać. Cisza ta wyłowiła dobiegającą z oddali muzykę.

Usłyszawszy ją, jegomość uśmiechnął się lekko do siebie i sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyciągnął z niej piękny zegarek na łańcuszku i przyjrzał się uważnie tarczy, na której samym środku wymalowano odlatującą jaskółkę. Znów uśmiechnął się do siebie i chowając zegarek z powrotem, ruszył środkiem uliczki, co jakiś czas spoglądając w ciemne okna kamienic. W miarę jak szedł, muzyka stawała się coraz głośniejsza i bardziej wyraźna. Po chwili oczom mężczyzny ukazała się jakaś wysoka postać, stojąca przy katarynce i kręcąca korbą. Wokół kataryniarza zebrało się całe mnóstwo kawek i gawronów. Co jakiś czas przeskakiwały



zabawnie z miejsca na miejsce, zupełnie jakby tańczyły. Każdy z pewnością wzięłyby te podskoki w rytm muzyki za zbieg okoliczności, jednak musiałby uwierzyć w końcu, że tak nie jest. Gdy tylko bowiem jegomość w monoklu zbliżył się

do kataryniarza, nie przstraszyły się i nie uciekły, jak w normalnej sytuacji zrobiłby jakikolwiek przedstawiciel ich gatunku. Dopiero kiedy mężczyzna przestał kręcić korbą, ptaki odleciały. Pozostała tylko jedna kawka, która usiadła na ramieniu kataryniarza niczym piracka papuga.

Po brukowanej ulicy roznosiło się jeszcze echo katarynki, kiedy jegomość w monoklu przyjrzał się uważnie człowiekowi z kawką na ramieniu. A trzeba wiedzieć, że przedstawiał on nader osobliwy widok, i to bynajmniej nie tylko przez czarnego ptaka obserwującego dumnie świat z jego ramienia. Był to mężczyzna wysoki, ubrany w garnitur w szkarłatną szkocką kratę i taki sam, lekko podniszczony cylinder, przekrzywiony delikatnie na ciemnych pofalowanych włosach. W jego brązowych,

wesołych oczach kryło się coś niezwykłego – jakaś dziwna gotowość do działania. Patrząc w nie, miało się wrażenie, że mężczyzna za chwilę zrobi coś niezwykłego, choć trudno byłoby domyślić się co.

– A więc wróciłeś do nas, Stanisławie – odezwał się pan w monoklu, uśmiechając się nieco chłodno. – Widzę, że muszę przydzielić ci nową rolę w naszym bractwie – dodał, spoglądając na katarynkę. – Nie wiedziałem, że interesujesz się muzyką.

– Nie mogłem się oprzeć, gdy ją tu zobaczyłem... a muzyki nigdy za wiele, Ludwiku – odparł z uśmiechem mężczyzna nazwany Stanisławem. – Myślę, że nie zaszkodziłoby, gdyby w Horologium rozbrzmiewała o wiele częściej...

– Dopiero wróciłeś i już chcesz wszczynać muzyczną rewolucję? – spytał Ludwik nieco żartobliwym tonem. Obaj mężczyźni niemal jednocześnie ruszyli powolnym krokiem w kierunku głównej ulicy, pozostawiając katarynkę, jak gdyby była częścią brukowanej ścieżki.

– Rewolucja to zbyt ciężkie słowo, by je wiązać z muzyką – odparł niespieszony Stanisław. – W każdym razie wsporniki znów znaleźć się w domu – dodał po chwili. – Swoją drogą ciekawe... skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? – zadał to pytanie tonem niezupełnie wskazującym na ciekawość, jakby niekoniecznie chciał poznać odpowiedź.

Lub jakby wiedział, że nie będzie mu to dane. Mężczyzna w monoklu uśmiechnął się szerzej.

– Sam wiesz, że mam na to swoje sposoby – odparł krótko.

– Och, wiem to doskonale! – przyznał tamten. – Cały czas mam jednak nadzieję, że zdradzisz nam chociaż jeden z nich.

Człowiek w monoklu milczał, cały czas lekko się uśmiechając. Wyglądał, jakby nie usłyszał ostatniego zdania swojego towarzysza. Słyszał je jednak doskonale.

– Czy twoja misja się powiodła? – spytał nagle.

– Wszystko zgodnie z planem – odparł Stanisław, zerkając na niewielką szkatułkę, którą niósł pod pachą. – A jak mają się sprawy w Horologium?

– Na razie jest dość spokojnie. – Ludwik spoważniał całkowicie. – Ale czuję, że coś wisi w powietrzu. Wróciłeś w odpowiednim momencie, Stanisławie.

– Tak... – Uśmiech spelzł ze śniadej twarzy jego rozmówcy. – Rzeczywiście, zwierzęta też to czują.

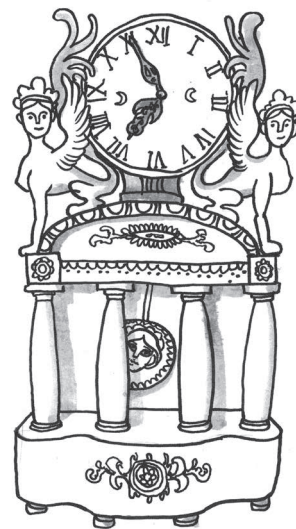
Nagle obaj jednocześnie zatrzymali się, mimo że od powozu dzieliła ich jeszcze pewna odległość. Zauważyli bowiem na ulicy coś, co z pewnością nie powinno się tam znaleźć o tej porze. Coś, a raczej kogoś... Samym środkiem ulicy zmierzała ku nim malutka dziewczynka.

że nie pamięta, jak tam dojść. Rozejrzył się niepewnie, czując, że się zgubił. Poszedł więc dalej przed siebie, mając nadzieję, że w końcu natknie się na stopnie.

I nagle w mozaice zamkniętych drzwi oczom chłopca ukazały się jedne otwarte na oścież. Wiedział, że nie jest to droga do jadalni, ale jego oczy, bardzo zmęczone oglądaniem całej czas tych samych ścian i dywanów, chciały zobaczyć coś innego. Podszedł więc ostrożnie do otwartych drzwi i zajrzał do pomieszczenia, które się za nimi kryło.

Aż westchnął cicho ze zdumienia, gdy zobaczył ogromny pokój cały wypełniony najróżniejszymi zegarkami. Znajdowały się na kilku regałach stojących na środku pomieszczenia i na półkach pnących się po każdej ze ścian aż do sufitu. Ze wszystkich stron rozlegało się tykanie wydobywające się z niezliczonej liczby chronometrów – dużych stojących, ściennych, najróżniejszego kształtu i koloru, kieszonkowych na łańcuszkach tudzież paskach oraz całkiem malutkich, przeznaczonych do noszenia na nadgarstku.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Olek wszedł do pokoju. Z szeroko otwartą buzią i zapartym tchem zaczął przyglądać się urządzeniom. Każdy z zegarków wskazywał dokładnie tę samą godzinę. Chłopiec szedł między regałami, aż nagle jego uwagę przykuł jeden z przyrządów.



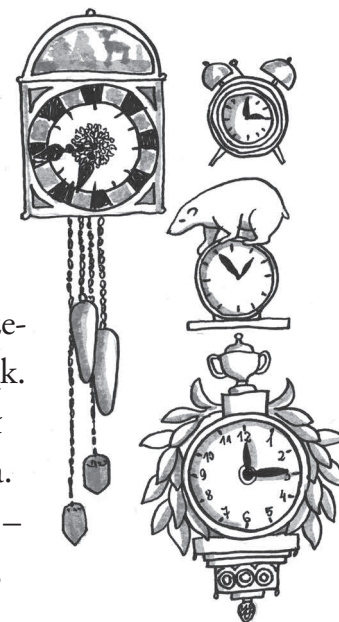
Nie był niezwykle – w pokoju znajdowało się mnóstwo o wiele bardziej barwnych, bogatych i interesujących czasomierzy – jednak to przed nim Olek się zatrzymał i od niego nie umiał oderwać wzroku. Chodziło o nieduży srebrny zegarek kieszonkowy na łańcuszku. Jedyny wyróżniająco go element stanowiła najmniejsza wskazówka – w kształcie małego kluczyka. Zegarek wydawał się prze-

ciętny, ale kiedy Olek na

niego spojrzął, poczuł się bardzo dziwnie. Wziął go do ręki, a ten natychmiast zrobił się ciepły, i chłopiec o mały włos go upuścił.

– Wiedziałem, że ten spodoba ci się najbardziej. – Usłyszał za sobą jakiś głos i podskoczył tak, że znów zegarek prawie wyslizgnął mu się z rąk. Odwrócił się gwałtownie i spojrzął prosto w przenikliwe oczy Ludwika.

– Przepraszam... – wyszeptał. – Ja... nie chciałem... zgubiłem się,



– Jasne, że tak! – krzyknęła Zosia, a Olek pokiwał głową. Kiedy Maria spojrzała na dzieci, jej twarz nagle złągdniała.

– Dobrze – powiedziała tylko, cały czas

uśmiechając się do wyczekującego rodzeństwa i nie spuszczać obojga z oczu. I kiedy niecierpliwa Zosia już chciała ją ponaglić, zdarzyło się coś niesamowitego.

Z kosza leżącego na środku stołu nagle uniosły się w górę dwie kromki chleba. W następnej chwili to samo stało się z łyżeczką, która samoistnie zanurzyła się w słoiku z konfiturą i obficie pokryła kromki słodkim przysmakiem. Po chwili kawałki chleba już leżały na talerzach Zosi i Olka.

– Brawo, kochana! – krzyknęła piękność, klaszcząc w dłonie. Do aplauzu dołączyły także oszołomione dzieci. Maria uśmiechnęła się tylko. Barbara natomiast zaczęła przedstawiać pozostałych, a czyniła to z taką radością i zaangażowaniem, jakby była gwiazdą estrady.

– A tutaj, moi mili, mamy kapitana Michała Ordona! – wskazała na ogromnego mężczyznę z siwą, nieco potarganą brodą i fajką, który wcześniej już się odezwał, zachwycając się przemianą Zosi. – Niegdyś kapitan słynnego statku „Skarb Mórz”, obecnie nasz wierny przyjaciel, niezwykle gawędziarz i jednocześnie najsilniejszy człowiek na świecie! No dalej, kapitanie, pokaż, co potrafisz!



wpatruje się w nią pytającym wzrokiem, dodała: – Sprzedałam Jadzi moją lalkę. Ona ma dużo pieniędzy, więc szybko się zgodziła, zwłaszcza kiedy powiedziałam jej, że ta lalka wcześniej należała do obecnej królowej Polski!

– Ale Zosiu, przecież w Polsce nie ma żadnej królowej – odparł zdziwiony Olek.

– Wiem, głuptasie! – odparła dziewczynka, uśmiechając się złośliwie. – Ale ta Jadzia jest strasznie głupia, we wszystko uwierzy. Dała mi za nią trzy złote!

– Zosiu, obiecałaś, że przestaniesz już kłamać – odrzekł oburzony Aleksander. Poczł się nieco urażony, sam również wcześniej wierzył w każde słowo siostrzyczki i teraz miał przeczucie, że i o nim myśli to samo, co o swojej koleżance.



– Oj, przestań – odpowiedziała tylko. – Chodźmy, zaraz się zaczyna, nie chcę się spóźnić.

Znów ruszyła przed siebie, ale po chwili wróciła, zobaczywszy, że Olek nie idzie za nią.

– Nie – powiedział krótko, znów oddając jej złotówkę.

– Co?! – Zosia wyglądała na zszokowaną. – Przecież chciałaś iść!

– Tak, ale tylko jeśli się zgodzą – odparł. – Nie zgodzili się, więc wracamy do domu.

– No co ty?! Taka okazja może już się więcej nie przytrafić! – Dziewczynka była wyraźnie zawiedziona i jednocześnie rozdrażniona.

– Trudno – odpowiedział Olek (co nie przyszło mu wcale łatwo). – Obiecaliśmy wracać zaraz po szkole do domu. Chodźmy.

– Nie! – Zosia tupnęła nóżką. – Ja chcę do cyrku!

Brat spojrział na nią stanowczo.

– Nie możemy – odparł. Fiołkooka popatrzyła na niego z wściekłością, ale po chwili ustąpiła ona miejsca zrezygnowaniu.

– No dobrze – wzięła od niego monetę. – Ale zgódź się na pójście okężną drogą, żebyśmy mogli chociaż przejść obok tego namiotu. Chciałabym go zobaczyć.

– O trzeciej zasadzie już ci kiedyś mówiłem.
– Nie wolno ich naprawiać, tak? – przypomniał sobie Aleksander.

– To bardzo ważne – odparł mężczyzna z monokłem. – Jeśli któryś z zegarów już się zatrzymał, nie w naszej mocy jest ożywić jego mechanizm. To wbrew naturze.

Zamilkł i zajął się kolejnym przybrudzonym czasomierzem. Aleksander przyglądał mu się, rozmyślając o wszystkim, czego się dowiedział. Po głowie chodziło mu cały czas jedno pytanie, wahał się jednak, czy może je zadać. W końcu ciekawość wzięła górę nad strachem i chłopiec odezwał się nieśmiało:

– Przepraszam... ale chyba nie do końca rozumiem...

Ludwik popatrzył na niego. W jego spojrzeniu nie widniało nic, co wskazywałoby na potępienie ciekawości chłopca. Olek mówił więc dalej:

– Te zegarki... oczywiście wszystkie przepiękne, ale... dlaczego właściwie są aż tak cenne? Strzegą ich niezwykle... i pan tak bardzo na nie uważa... to wszystko dla zwyczajnych zegarków?

– Tak, to wszystko dla zegarków – odparł mężczyzna. – Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że to zwykłe urządzenia. Jeśli sam jeszcze nie odgadłeś, nie zdradzę



się strachem. Los nie oszczędzał go ani trochę, dokładając mu coraz to nowe powody do lęku. Dzień, który opisuję, przyniósł mu, a także całemu Horologium, bardzo niepokojące wieści.

Srebrzysta, pokryta szronem trawa chrzęściła pod stopami Zosi i ćwiczących z nią niezwykłych, wydając przyjemny dla ucha dźwięk. Mróz dawał się z każdym dniem coraz bardziej we znaki, lada chwila spodziewano się pierwszych opadów śniegu. Aleksander jednak, mimo chłodu, codziennie wychodził do ogrodu obserwować ćwiczenia siostry. Uwielbiał przebywać na świeżym powietrzu, a teraz, kiedy nie mógł już wybierać się na spacer, obserwacje te stanowiły jedyną okazję do wydo-

stania się na zewnątrz. Zaczęły mu przynosić o wiele więcej przyjemności – przestał już bowiem odczuwać smutek i zazdrość na myśl, że jedynie on w całym Horologium nie ma żadnej magicznej umiejętności. Pomaganie panu Ludwikowi w pokoju z zegarkami stało się jego sposobem na bycie niezwykłym. Od czasu, kiedy zaczął wraz

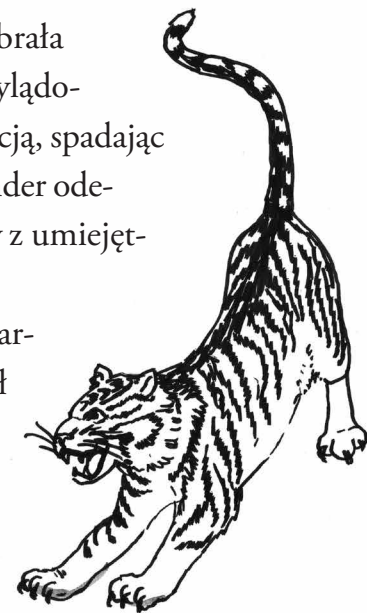


z mężczyzną pracować w tajemniczym pomieszczeniu, poczuł się członkiem tego zacnego stowarzyszenia, a nie już tylko przygarniętym bezdomnym chłopcem.

– Doskonale, Zosiu! Robisz ogromne postępy! – pochwalała dziewczynkę piękna Barbara po brawurowej sztuczce wykonanej wspólnie z kapitanem Ordonem.

Olek również był pod wrażeniem efektów połączenia sił dwojga niezwykłych. Początkowo, kiedy zobaczył silnego kapitana podnoszącego jego siostrzyczkę nad głowę jak zwykłą lalkę, przestraszył się. Serce zamarło mu, gdy mężczyzna zamachnął się i rzucił nią z całej siły przed siebie. Jednak gdy tylko Zosia znalazła się w powietrzu, przybrała postać ogromnego tygrysa i wylądowała na ziemi z prawdziwą gracją, spadając miękko na cztery łapy. Aleksander odetchnął i zaczął klaskać, dumny z umiejętności siostry.

– Dobrze, na dzisiaj wystarczy, robi się zimno – stwierdził Franz, pocierając ręce jedna o drugą, aby je rozgrzać.



oko na ludzi dookoła i chronić ich przed tym, co zagraża im najbardziej – przed ich własną ciemną stroną.

Oto więc koniec i początek jednocześnie – pięknie, prawda? Nowy początek – nowa szansa, by tym razem nie dać się nabrać piekielnym potęgom. Nowa szansa, by tym razem wrota do straszego królestwa utrzymać zamknięte i nie dawać jego mieszkańcom powodów do radości i śmiechu, który może sprawić, że znów się otworzą.

